

Jim Forest

PIELGRZYMOWANIE

jako droga przez życie

przekład
Katarzyna Turska

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału
The Road to Emmaus
Pilgrimage as a Way of Life

Published by Orbis Books, Maryknoll, NY 10545-0308

Copyright © 2007 by Jim Forest

© Wydawnictwo WAM, 2009

Redakcja
Patrycjusz Pilawski

Projekt okładki
Joanna Wysocka Panasiewicz

ISBN 978-83-7505-258-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 012 62 93 200 • faks 012 429 50 03
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 012 62 93 254-256 • faks 012 430 32 10
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl
Zapraszamy do naszej

KSIĘGARNI INTERNETOWEJ
<http://WydawnictwoWAM.pl>
tel. 012 62 93 260 • faks 012 62 93 261

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
wydawnictwowam.pl

Spis treści

Wstęp	7
Droga	19
Wędrownka	25
Modlitwa	34
Druga strona ciszy	45
Mapy	56
Labirynty	63
Relikwie	69
Święci pielgrzymi	78
Wąskie przejścia	96
Ciemne miejsca, ciemne ścieżki	114
Dokładnie tam, gdzie stoję	135
Porzucić strach	145
Przeszkody i niespodzianki	170
Choroba jako pielgrzymka	187
Pielgrzymka do bram	196
Droga do Emaus	213
Modlitwa pielgrzymów	231
Podziękowania	233

Wstęp

Pielgrzym. Dla dziecka dorastającego w Ameryce słowo *pielgrzym* nie niosło w sobie żadnych skojarzeń religijnych. Słyszano je głównie w liczbie mnogiej, ponieważ odnosiło się do odzianej na czarno wspólnoty angielskich purytanów, którzy nie bojąc się burzy, przepłynęli przez Atlantyk na statku *Mayflower* i w grudniu 1620 roku założyli wieś Plymouth nad zatoką Massachusetts. Nie był to cel, do którego zmierzali pielgrzymi – chcieli dotrzeć do Wirginii – ale gwałtowna zimowa burza zagnała ich właśnie w to miejsce. Ponieważ byli pielgrzymami, zaakceptowali wolę Bożą. Następnej jesieni pielgrzymi wraz z Indianami, którzy im pomogli przetrwać, wyprawili ucztę, aby świętować obfite plony. Takie jest pochodzenie ulubionego święta Amerykanów obchodzonego co roku. Uczta Dziękczynienia, bo o niej oczywiście mowa, sprawiła, że słowo *pielgrzym* stało się bardziej zrozumiałe dla dziecka. Można było je skojarzyć z zapachem pieczonego nadziewanego indyka, sosu żurawinowego, słodkich ziemniaków, cebuli w sosie śmietankowym i ciasta dyniowego.

Dopiero w ósmej klasie odkryłem, że na długo wcześniej, zanim *Mayflower* wyruszył w swoją podróż, istnieli inni pielgrzymi. Dowiedziałem się tego z encyklopedii (*World Book Encyclopedia*), pięknie oprawionego kompletu ksiąg, które razem zajmowały około metra długości. Została ona

podarowana naszej szkole przez pewnego hojnego darczyńcę i opatrnościowo umieszczono ją w mojej klasie. Była dla mnie niczym dar niebios. Przeczytałem ją całą, zaczynając od pierwszego tomu po lewej stronie obejmującego hasła od Aardvark do Bermudy. W drugim tomie odkryłem ilustrację z wczesnej kopii *Opowieści kanterberyjskich* Chaucera. Był to średniowieczny obrazek przedstawiający grupę mężczyzn i kobiet odzianych w kolorowe szaty, zmierzających konno pod błękitnym niebem Londynu do katedry w Canterbury. Tekst głosił, że w tej katedrze dnia 29 grudnia 1170 roku rycerze króla Henryka II zamordowali Tomasza Becketa – jego czaszka została rozplątana mieczem. W tym samym momencie Tomasz Becket stał się świętym męczennikiem, a Canterbury, splamione jego krwią, stało się miejscem przyciągającym pielgrzymów.

Właśnie wtedy po raz pierwszy natknąłem się na język, który był dla mnie zarówno obcy, jak i znajomy: średnioangielski. Oto fragment ze wstępu do *Opowieści kanterberyjskich*:

Gdy kwiecień deszczu rzęśistym strumieniem
Marcową suszę zmoczy do korzeni
I skąpie żyłę ziemi w takim płynie,
Który kwitnienia moc daje roślinie;
Gdy zefir ciepłym oddechem owionie
Wiotkie łodygi na polach i błoniach,
A młode słońce na tarczy zodiaku
Zbiegnie pół drogi spod Barana znaku
I poczną śpiewać maleńkie ptaszęta,
Których żrenica we śnie nie zamknięta,
Bo w nich tęsknotę budzi przyrodzenie,
Wtedy i ludzi ogarnia pragnienie

Zbożnej pielgrzymki, idą w obce strony
Do świętych grobów cudami sławionych,
Zwłaszcza z najdalszej nawet okolicy
Do Kanterbury wędrują Anglicy,
Świętemu złożyć hołd męczennikowi,
Że im dopomógł, z choroby uzdrowił.

OPOWIEŚCI KANTERBERYJSKIE,
PRZEL. H. PRĘCZKOWSKA

Czy to możliwe, że moje pierwsze spotkanie z językiem średnioangielskim miało miejsce tak wcześnie? To było przecież New Jersey, lata pięćdziesiąte. Czy to możliwe, że *World Book Encyclopedia*, produkt tak bardzo amerykański jak płatki śniadaniowe, ośmieliła się epatować młodych czytelników słowami, których pisownia i znaczenie dawno już odeszły w przeszłość? Ale przynajmniej był tam obrazek przykuwający uwagę, byli na nim mężczyźni i kobiety odziani w kolorowe szaty, wyruszający w podróż na małych konikach, a nad nimi niebo – błękitne jak jajko drozda. Był tam także tekst, a w nim wzmianka o Chaucerze, czternastowiecznym poecie angielskim. W jego opowieści niespieszni pielgrzymi wymieniali się swoimi opowiadaniem, tworząc epicką ścieżkę historii, która połączyła Londyn z Canterbury.

Pielgrzymka. To prawie takie samo słowo jak *pielgrzym*, tylko o sylabę dłuższe, a mimo to ta dodatkowa sylaba tworzy słowo skłaniające do refleksji. Sprawiała, że moje myśli powędrowały przez Atlantyk do starego świata, do średniowiecza. Pielgrzymka wydała mi się kuszącą przygodą, konną przejażdżką, której uczestnicy dzielą się swoimi opowiadaniem z towarzyszami podróży. Chociaż wiedziałem bardzo niewiele o biskupach i królach, a jeszcze mniej o motywach, które skłoniły króla Henryka do przecięcia mieczem życia

arcybiskupa, nie potrzebowalem żadnego wyjaśnienia, dlaczego splamiona krwią podłoga kościoła stała się miejscem tak mocno przyciągającym ludzi. A byłem wtedy zaledwie trzynastoletnim chłopcem.

Moją pierwszą pielgrzymką książkową z prawdziwego zdarzenia było przeczytanie *Przygód Hucka*, opowieści Marka Twaina o zbiegłym chłopcu i o niewolniku podróżujących nocą na tratwie w dół rzeki Missisipi. Nie kierowała nimi chęć odwiedzenia szczątków zmarłego męczennika, popychał ich do przodu jedynie nurt rzeki, a mimo to ci dwaj podróżnicy byli swego rodzaju pielgrzymami szukającymi wolności. Dryfowanie z prądem rzeczny w nocy i wpatrywanie się w rozgwieżdżone niebo wydało mi się znacznie lepszym sposobem nawiązania dialogu z wszechświatem niż siedzenie w szkolnej ławie. Mark Twain bynajmniej nie nazywa ich wędrowniaki pielgrzymką. W jego książce nie ma żadnej wzmianki o tym, że Huck i Jim mają jakiś religijny cel swojej podróży. Mimo to czułem, że ta podróż, ze względu na różne niebezpieczeństwa i pomimo braku jakichkolwiek świątyń czy relikwii, pozwalała dwóm podróżnikom czasami zobaczyć skrawek nieba.

Gdybym był w szkole pół wieku wcześniej, to z pewnością moją lekturą byłaby książka Johna Bunyana *The Pilgrim's Progress* (*Wędrowniaki Pielgrzymy*). W świecie anglojęzycznym, od siedemnastego do dwudziestego wieku, ta książka była prawie tak popularna jak Biblia. Właściwie w wielu domach były jedynie te dwie książki. Ale wątpię, by w latach pięćdziesiątych w szkolnej bibliotece znajdowała się choć jedna kopia książki Bunyana. A nawet jeśli była, to nigdy jej nie zauważyłem.

Przeczytałem ją, dopiero kiedy robiłem kurs literatury angielskiej w Hunter College na Manhattanie. Jej główny bohater – chrześcijanin – jest przeciętnym człowiekiem próbującym odnaleźć drogę z Miasta Zagłady do Niebiańskiego Grodu. To nie jest łatwa droga. Jest na niej wiele przeszkód. Zostaje skierowany do Ciasnej Bramy, która symbolizuje wąskie przejście do Królestwa Niebieskiego, o którym Chrystus mówi w Ewangelii, ale sprowadzają go na manowce pan Mędrak oraz pan Litera Zakonu i jego syn – mieszkańcy wioski o nazwie Moralność. Mimo to w końcu chrześcijanin odnajduje Ciasną Bramę i dostępuje łaski oglądania samego Jezusa.

Książka Bunyana pomogła mi zrozumieć, że słowo *pielgrzym* może być używane w znaczeniu metaforycznym: każde życie bez wyjątku jest nieustanną pielgrzymką z łona matki do grobu, jest to pielgrzymka zakończona sukcesem, jeśli trafiamy do nieba, a porażką, jeśli wpadamy do piekła.

To wreszcie w Hunter College przeczytałem *Opowieści kanterberyjskie*, walcząc z językiem średnioangielskim, a jednocześnie czując się przezeń zauroczony. Zaskoczyło mnie, że ludzie udający się na pielgrzymkę niekoniecznie rozmawiali o „świętych sprawach”. Jeden z pielgrzymów opowiadał o pewnym studencie, który uwiódł żonę gospodarza, u którego wynajmował pokój, i jednocześnie przekonał niezbyt mądrego męża, aby schował się w beczce, wmawiając mu, że zbliża się zagłada świata. U pielgrzymów Chaucera można odnaleźć więcej rubasznego humoru i otwartej dyskusji na temat spraw seksualnych niż w literaturze współczesnej.

Przybyłem do Hunter College jako student zaoczny jesienią 1961 roku, kilka miesięcy wcześniej zostałem zwolniony ze służby w marynarce ze względu na przekonania. Poza

jednym wieczorem w tygodniu, kiedy studiowałem literaturę angielską, resztę czasu spędzałem głównie we wspólnocie katolickich robotników – Catholic Worker, na Chrystie Street, na dolnym Manhattanie. Było to miejsce nadające nowe znaczenie słowu *pielgrzymka*.

Założycielką wspólnoty i jej *spiritus movens* była Dorothy Day. Jej rubryka w wydawanej przez nas gazecie „The Catholic Worker” nosiła tytuł *On Pilgrimage (Na pielgrzymce)*. Był to rodzaj bieżącego dziennika: informacje o podróżach Dorothy, jej gościach, książkach, które czytała, rozmowach, w których uczestniczyła, a nawet operze, którą słyszała w radiu w niedzielne popołudnie. Dorothy nadała słowu *pielgrzymka* znaczenie w konotacjach współczesnych, a nie średniowiecznych. Jak pisał John Bunyan: każdy dzień naszego życia i wszystko, co dzieje się po drodze, zaplanowane bądź nieoczekiwane, stanowi fragmenty naszej pielgrzymki do nieba, pod warunkiem że żyjemy Ewangelią i odkrywamy Chrystusa w ludziach, których napotykamy na swojej drodze. Dla Dorothy pielgrzymka była sposobem na życie, rodzajem wsłuchiwania się w innych, postawą, która kierowała jej wyborami, dyscypliną narzuconą życiu.

Zacząłem spoglądać na swoje życie również jak na pielgrzymkę.

Odbywało się wtedy wiele małych pielgrzymek do kościołów na Manhattanie, do jednych szło się pieszo, do innych jechało metrem. W tamtych czasach kościoły katolickie były zwykle otwarte cały dzień, a nawet całą noc. Zatem na końcu każdej drogi można było znaleźć miejsce modlitwy przed Najświętszym Sakramentem.

Droga

Zwróć uwagę na gościniec, na drogę, którą wychodziłaś.

JR 31, 21

[Droga] była naszą pierwszą i najważniejszą potrzebą. Jej historia jest dłuższa niż historia budynków i studni.

HILLAIRE BELLOC, STARA DROGA

Teraz wydawało się, że moje ciało wędruje samo, że droga wędruje moim ciałem.

PIELGRZYM AMERYKAŃSKI WSPOMINAJĄCY SWOJĄ
WĘDRÓWKĘ DO SANTIAGO DE COMPOSTELA

Sporządzenie listy ludzkich osiągnięć zajęłoby długie godziny, ale nawet gdybyśmy wymienili wszystko – począwszy od wynalazku koła, poprzez wspaniałe katedry, odkrycie DNA i wynalezienie komputerów – to i tak pominęlibyśmy największy wynalazek ludzkości, jakim jest droga, ponieważ jest on zbyt oczywisty, zbyt zwyczajny i zbyt staroświecki.

Droga jest dla rasy ludzkiej czymś w rodzaju układu krążenia, jest sposobem wymiany informacji. Na długo zanim wynaleziono słowo pisane, drogi łączyły ze sobą domy, miasteczka i miasta. Bez dróg nie byłyby społeczności. Drogi nie tylko łączą miasta, ale przyczyniają się do ich powstania. Przecinają granice, punkty kontroli i bariery, łącząc zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Droga jest znacznie starszym niż paszport zaproszeniem do przekraczania granic, rozpoczęcia

dialogu i zakończenia waśni. Każda droga świadczy o naszej potrzebie kontaktu z drugim człowiekiem.

Zanim powstały drogi, świat stanowił wielką głuszę, ale nawet przed pojawieniem się Adama i Ewy były już niezliczone szlaki i ścieżki wydeptane przez zwierzęta, które wędrowały stadami, polując na zwierzynę bądź migrując w czasie zmiany pór roku. Wraz z pojawieniem się ludzi wiele z tych ścieżek stało się drogami dla myśliwych, gdzieś tam prowadziły do miejsc, które okazywały się wymarzone na rozbiście obozowiska czy założenie osady.

Droga jako doskonałe wspólne przedsięwzięcie ludzkości ukazuje prawdę o kulturze, która ją stworzyła. Drogi Rzymian są zwykle równie proste jak rzymskie prawo, ale w wielu kulturach drogi mają liczne zakręty, ponieważ szukają brodów, omijają mokradła, biegną przez wysoko położone tereny, natrafiają na źródła i święte miejsca.

Drogi dają życie. Dostarczają podstawowej infrastruktury niezbędnej do rozwoju życia społecznego. Bez nich nie ma handlu. Bez dróg i związanych z nimi możliwości transportu umarlibyśmy z głodu. Najważniejszym zadaniem królów i królowych, ważniejszym nawet od ochrony miar i wag i karaniania tych, którzy dolewali wody do piwa, było utrzymywanie bezpiecznych dróg.

Historia ludzkości jest historią drogi. Ranga cesarstwa zależała od jakości jego dróg. Rzymskie drogi budowano tak dobrze, że nawet teraz, setki lat później, nie tylko można je oglądać, ale nawet z niektórych korzystać.

Droga oznacza bezpieczną ucieczkę. Ścieżka prowadzi wędrowców, aby mogli obejść rozpadlinę czy znaleźć bród

lub przeprowić się przez rzekę. Pokazuje drogę przez bagna i lotne piaski.

Nawet jeśli drogi czasem prowadzą armie ku zniszczeniu, to znacznie częściej kierują pielgrzymów na spotkanie ze świętością. Łączą ze sobą nie tylko stolice i wspaniałe katedry, ale również odległe świątynie, w których znajdują się relikwie świętych. A relikwie świętych nierzadko przyczyniały się do poszerzenia drogi lub do budowy nowej.

Drogi nie tylko zbliżają nas do siebie, ale kiedy chcemy uciec od ludzi, prowadzą nas ku samotności. Ta sama droga, która prowadzi do Rzymu, zawiedzie nas na pustynię, jeśli pójdziemy nią w przeciwną stronę.

Droga ma pewien sakramentalny wymiar: jest widzialnym znakiem ukrytej jedności. Drogi są jak mapy ludzkiej wspólnoty.

Droga jest podstawową metaforą. W Ewangelii Chrystus mówi o wyborze wąskiej ścieżki, a nie szerokiej drogi. Wcześni chrześcijanie mówili o sobie, że podążają Drogą, którą jest Chrystus.

Droga była często miejscem, na którym działy się ważne wydarzenia religijne. Dwaj uczniowie szli wraz ze zmartwychwstałym Chrystusem w drodze do Emaus, nieświadomi, z kim idą. Potem tą samą drogą wracali do Jerozolimy, opowiadając, jak Chrystus im się objawił przy łamaniu chleba.

Św. Paweł, pierwszy pielgrzym chrześcijaństwa, napotkał Chrystusa w drodze do Damaszku. Przemierzając trakty Imperium Rzymskiego, św. Paweł stał się jednym z wielkich ludzi drogi w historii.

Stare drogi ciągle istnieją. W niektórych przypadkach są nadal widoczne i wciąż w użyciu; w innych zakryły je nowo-

czesne autostrady; w jeszcze innych miejscach stały się znowu zarośniętymi ścieżynami; a czasami nie są już niczym więcej niż koleinami w glebie.

Stary trakt pielgrzymi z Winchesteru do Canterbury jest po trosze każdą z takich dróg. Niektóre fragmenty tej drogi, która jest tak stara jak Anglia, są teraz rzadko uczęszczane, lecz część z nich stała się głównymi autostradami. Mimo to, po części dzięki ciągłemu przepływowi pielgrzymów, którzy wędrują do kościoła, gdzie w 1170 roku został zamordowany św. Thomas Becket, ta pielgrzymia ścieżka ciągle istnieje od początku do końca. W 1904 roku Hillaire Belloc wydał książkę pod tytułem *The Old Road (Stara droga)*², w której udało mu się połączyć w całość fragmenty tej drogi, kiedy przewędrował ją w czasie jednej ze swoich licznych pielgrzymek.

Shirley de Boulay, jedna z osób pielgrzymujących z Winchesteru do Canterbury na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, pozostawiła nam jedno z najlepszych współczesnych wspomnień o pielgrzymowaniu pod tytułem *The Road to Canterbury (Droga do Canterbury)*. Autorka pisze tak o drodze:

Stare drogi są uświęcone przez czas i przez kroki przemierzających je ludzi i zwierząt... Traktujemy stare drogi jak stare budynki. Nawet ich nazwy – Watling Street, Ermine Street, Fosse Way, Maiden Way, Stane Street – dźwięczą niczym echo w naszej wyobraźni. Pamiętam, że kiedy jako dziecko chadzałam Berkshire Downs, mówiono mi, że to stara rzymska droga zwana Icknield Street. Pamiętam, jaka byłam dumna, kiedy później rozpoznawałam w tej długiej prostej drodze rzymski trakt... Droga nie pojawia się znikąd. To owoc długoletnich wysiłków. To niezwykle wspólne

² Hillaire Belloc, *The Old Road*, Constable, Londyn 1904.

przedsięwzięcie, długotrwały eksperyment, a jednostka stanowi zaledwie jego cząstkę³.

Wędrówka starą drogą to szczególne uczucie. Chociaż pielgrzym nie widzi nikogo przed sobą ani za sobą, może w głębi duszy czuć, że nie jest zupełnie sam. Setki tysięcy innych osób szły już tą drogą, pokolenie za pokoleniem. Chwilami ta wielopokoleniowa rzeka podróżnych wydaje się prawie namacalna. Nie bylibyśmy zdziwieni, gdyby nawet pojawiła się przed nami grupa średniowiecznych pielgrzymów na koniach, a wśród nich sam Chaucer.

Pośród tych, którzy szli czy jechali przed nami, nie wszyscy byli pielgrzymami zmierzającymi do świątyni, ale wielu z nich było pątnikami, a ci, którzy mieli bardziej prozaiczne sprawy do załatwienia, być może również podróżowali z pobożnością godną pielgrzymów. Wielu z nich było ludźmi świadomymi, że każdy krok jest niczym akt modlitwy. Na drogach, na których ludzie intensywnie się modlą, słychać często pogłos modlitwy. Droga sama w sobie schodzi na drugi plan.

Jednym z piewców drogi był nauczyciel akademicki z Oksfordu J.R.R. Tolkien, dzięki któremu wymyślona historia o Śródziemiu weszła do współczesnego świata. Jego książki *Hobbit* i *Władca pierścieni* są hołdem oddanym drodze. Tolkienowi nie chodziło o drogi w liczbie mnogiej, ale właśnie o Drogę. Obojętne, ile jest na niej skrzyżowań i rozwidleń, nieważne, ile przecina ją rzadko uczęszczanych ścieżek, wszystkie trakty przemierzane przez ludzi są połączone w je-

³ Shirley du Boulay, *The Road to Canterbury: A Modern Pilgrimage*, Morehouse Group, Londyn 1995.

den system, tak jak naczynia krwionośne w ciele stanowią jedną całość, przez którą przepływa rzeka krwi, od serca do najodleglejszych komórek i z powrotem.

Bohater książki Tolkiena, Bilbo, śpiewał pewną piosenkę o drodze, kiedy wyruszył na ścieżkę, na której otarł się o śmierć w czasie spotkania ze smokiem. Dziedzic Bilbo, Frodo, śpiewał tę piosenkę, kiedy wychodził z przytulnego schronienia, aby obalić królestwo zła, chociaż wtedy wiedział tylko, że jego zadaniem jest zanieśenie magicznego pierścienia w bezpieczne miejsce do Rivendell.

Kanwą powieści Tolkiena jest piosenka Bilbo i Frodo, która opiewa moment wyjścia z domu w nieznaną, bez poczucia pewności, że kiedykolwiek się wróci:

Biorąc od drzwi swój początek,
Droga bieży wciąż przed siebie,
Hen rozwinął się jej wątek,
Czas więc teraz i na ciebie.
Gdy ją skore depczą stopy,
Na rozstaje gdzieś wywiedzie,
Gdzie się mylą trakty, tropy.
Ale dokąd? Tum jest w biedzie!⁴

⁴ J.R.R. Tolkien, *Bractwo pierścienia*, Księga 1 *Władcy pierścieni*, Zysk i s-ka, Poznań 2001, s. 57.